

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
87-100 Toruń, ul. W. Garbary 2  
tel.: 65-22-186, e-mail: archAK@um.torun.pl  
REGON 870502736

MEMORIAŁ  
*General Marii Wittek*



242 AK  
Okr. Wilno

† 16 VIII 2005

HOPPEN Jadwiga  
zam. Lawadzka  
ps. "Regina" "Agata"

3598/Wsk

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 3598/WSK

Hoppen Jadwiga  
Zawadzka ps. Regina Agata

I/1. Relacja ✓

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —  
—  
—  
—

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie

(1600 foto I/1)

III Relacja własna





Urodziła się 20 kwietnia 1921 r. w Wilnie w środowisku inteligentnym jako córka Mariana, inżyniera leśnika i Barbary ze Skarżyńskich, działaczki POW w latach 1919-1920.

Po ukończeniu w 1939 r. Gimnazjum i Liceum SS. Nazaretanki w Wilnie wstępuje na romanistykę w Uniwersytecie Stefana Batorego i kształci się do 1941 r.

Z początkiem okupacji niemieckiej wyjeżdża w lipcu 1941 r. do majątku babki na Litwie Kowińskiej. Do Wilna wraca w sierpniu 1942 r.

Działalność konspiracyjną zaczyna jeszcze w październiku 1939 r. w SZP w zespole Jadwigi Łukaszewiczowej (służba sanitarna i poczta łączności), następnie współdziała z dokumentów tożsamości. W listopadzie 1940 r. zostaje zatrudniona jako łączniczka pod kierownictwem Zofii Dąb-Biernackiej „Jagienki”, a oficjalnie jest zatrudniona w Grasse Herresbaudienststelle.

Od maja 1943 r. zajmuje się także przetrzaniem do 3. Brygady AK „Szczerbca” ochotników z Litwy Kowińskiej.

W operacji „Ostra Brama” bierze udział jako sanitariuszka w szpitalu na Zwierzyniecu. Od grudnia 1942 r. do czerwca 1944 należy też do tajnego Klubu Młodych Twórców. Tam debiutuje drobnymi utworami poetyckimi. Pisze je także później podczas pobytu w więzieniu i w łagrach.

Po zajęciu Wilna przez ZSRR w lipcu 1944 r. zatrudnia się w Administracji Budynków Mieszkalnych jako rachmistrz, a od lutego 1945 r. rozpoczyna pracę w Urzędzie do Spraw Repatriacji Polaków do Polski.

W okresie tym wznawia działalność konspiracyjną jako łączniczka, pozostająca w dyspozycji mjr. Wincentego Chrzęszczewskiego „Kruka”. Z jego też polecenia organizuje przetrzy do centralnej Polski wskazanych osób.

16 sierpnia 1945 r. zostaje aresztowana przez NKWD. Sądzona w „grupie Chrzęszczewskiego” za działalność w AK zostaje skazana na 10 lat łagrów.

Do kraju wraca 12 września 1956 r. i po krótkim pobycie w Słupsku przenosi się do Łodzi, gdzie podejmuje wielokierunkową pracę w spółdzielczości mieszkaniowej.

W 1978 r. przechodzi na emeryturę, ale nadal jest czynna w pracy społecznej oraz kombatanckiej jako członek Komisji Archiwalno-Historycznej przy Zarządzie Łódzkim SZŻAK oraz – od kilku lat – w Komisji Historycznej Okręgu Wileńskiego.

Kontynuuje także pracę pisarską: publicystyka o tematyce spółdzielczo-mieszkaniczej, tagiermiczki (todd 1991), Dzieje powstania i działalności Szkoły Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu w Wilnie w latach 1906-1940 (Bydgoszcz 1996), Wileńskie reminiscencje (Bydgoszcz 1996), Czas grozy (Bydgoszcz 1998), oraz wspólnie z Witoldem Lenczewskim – Pięć lat na wojennej ścieżce (todd 1996).

Od tamtych czasów minęło ponad pół wieku. A jednak tkwią one w pamięci niezmiennie i nakazują rozważać, zastanawiać się, a przede wszystkim wspominać.

W myśl tego nakazu wciąż widzę owe pierwsze dni grozy – w nieoczekiwanym wybuchu niemieckich bomb, w przerażających wieściach nadchodzących z frontu, w skośnych, ażjatyckich oczach zabierających wojsk napływających ze wschodu.

Nasze ciche i spokojne dotąd miasto stało się w ciągu kilkunastu dni niemal nie do poznania – obce wojska, obca mowa, obce twarze. Tłumy przerażonych ludzi, uciekających z terenów już zajętych przez Niemców, podobne tłumy uciekające przed nawałą sowiecką ciągnącą ze wschodu.

I my Wilnianie stojący bezradnie wobec tej upiornej wrześnieiowej rzeczywistości. Lecz to był tylko krótki wstrząs.

Wkrótce społeczeństwo wileńskie otrząsnęło się z zaistniałego koszmaru i zdecydowało rozpocząć własne działania. Oczywiście nie wszyscy do tego przystąpili. Byli tacy, co pragnęli przede wszystkim uchronić swych najbliższych, swoje ziemie i swój dom. Byli i tacy, którzy wykorzystując zaistniały chaos, starali się wyciągnąć z niego jak największe korzyści. Byli egoiści, kombinatorzy oraz oportuniści, dostawiający się do każdej sytuacji.

Lecz większość społeczeństwa uznała za swój obywatelski obowiązek rozwijać wszelkie akcje charytatywne, pomagać tym, co stracili wszystko, chronić będących w niebezpieczeństwie, ukrywać wojaków powracających z frontu i na razie w ten sposób walczyć w obronie rodzinnej, rozświetlonej jesiennym słońcem ziemi kresowej.

Sowieci i Litwini już buszowali po niej starając się z marszu niszczyć wszelkie ślady polskości, która przecież była nasza, w której czuliśmy się u siebie.

Stąd, gdy polska klęska wrześnieiowa okazała się tragicznym faktem, a nieprzyjaciel podjął od razu bezwzględne rządy, ludność wileńska zaczęła się łączyć, podejmując wszelkie kroki ku obronie swej odebranej ojczyzny.

W krótkim czasie Wilno stało się ośrodkiem skupiającym podziemne ruchy niepodległościowe. Kierunek im nadawali cofający się z polskich frontów wojskowi, znajdując silne wsparcie w naszym kresowym na wskroś polskim mieście.

Jeszcze nie pojawiły się żadne odgórne wytyczne. Kierownictwo wojskowe, zagubione w chaosie walk z dwoma wrogami, w trudzie wycofywania się na południe kraju, w podejmowaniu w marszu wszelkich bieżących decyzji, jeszcze nie mogło ustalić jakiegokolwiek działania co do dalszych losów na razie zagubionego i pozostawionego swemu losowi kraju.

Ludność wileńska nie czekając nawet na odgórne wskazówki czy rozkazy sama zaczęła się organizować w zrzeszenia społeczne, niosące pomoc uchodźcom i poszkodowanym, w załęki związków politycznych, a przede wszystkim w różne większe lub mniejsze jednostki wojskowe. Cel był jeden – przetrwać, łączyć się, dawać odpór panoszącemu się wrogowi.

Polacy zaś przystąpili do przeciwstawienia się przemocy, a nie mogąc na razie dokonywać tego otwarcie z orężem w ręku, schodzili do podziemia, gdzie w głębokiej konspiracji i trudzie tworzyli zręby Polskiego Państwa Podziemnego, które wkrótce zaczęło zadziwiać świat zarówno doskonałą i wielostronną organizacją, jak i wszelkimi formami skupiania i przygotowywania młodzieży do przyszłych starć z wrogiem.

\*

W takiej atmosferze i z takim ogólnym nastawieniem i ja zdecydowałam „iść w bój”. Choć przyznać muszę, że sprężyną, która mnie pchnęła na drogę konspiracji, była moja mama, dawna działaczka Podziemnej Organizacji Wojskowej. Wysłała mnie do swej organizacyjnej ongiś koleżanki, pani Jadwigi Łukaszewiczowej, która była już dalece zaangażowana w różne nielegalne działania.

I tak się to zaczęło już od listopada 1939 roku. Wprawdzie początki nie były żadną specjalną konspiracją – organizowaliśmy szpitalik polowy w domu przy ul. Wiłkomierskiej 5 dla wyrzuconych przez Litwinów ze szpitali miejskich naszych rannych żołnierzy. Ośrodków takich powstało w Wilnie kilka. W naszym była zapewniona dla cho-

111-2

rych pełna opieka lekarska, pomoc pielęgniarska i wyżywienie, a wszystko pochodziło z darów ofiarnego społeczeństwa wileńskiego.

Po Bożym Narodzeniu zostałam przeniesiona do innej roboty. Przystąpiłam do udziału w tzw. „praniu” różnych dokumentów, zwłaszcza cza dokumentów litewskich, które następnie były przekazywane potrzebującym osobom tj. szczególnie tym, które usiłowaty poprzez ambasadę: angielską czy francuską, działające w Kownie – wydestac się na zachód do Wojska Polskiego.

Na razie „pralnia” mieściła się w mieszkaniu prywatnym pani Ireny Czerwińskiej, pracownika naukowego Wydziału Chemii Uniwersytetu Stefana Batorego.<sup>1</sup>

Praca u p. Czerwińskiej wyglądała dziwnie i dość oryginalnie. Były to, bowiem, dopiero początki. Pracowała ze mną jeszcze jakaś dziewczyna, lecz nie pamiętam jej nazwiska, nawet wyglądu nie przypominam.

Całą pacę zabranych, a często i skradzionych autentycznych dokumentów litewskich wrzucałyśmy do wanny wypełnionej specjalnie spreparowaną cieczą. Drewnianym kijem czy wielką drewnianą chochlą wolno mieszałyśmy nasze papiery w płynie tak, by każdy był w pełni zanurzony. Po pewnym czasie litery pisane atramentem powoli białły, żółkły, w końcu znikwały. To była pierwsza część prowadzonej operacji.

Potem płyn wylewałyśmy, a rozpracowywane dokumenty puszczałyśmy spod prysznicą strugi zimnej, bieżącej wody. Trwało to do brych dziesięć minut. Kiedy wyprane i wypłukane dowody nie wydały z siebie już żadnych chemicznych zapachów i wyglądały całkiem normalnie, układałyśmy je do wysuszenia na podłodze w specjalnie ogrzewanym składziku.

Całą dobę schły, my zaś po zebraniu i wyprasowaniu podobnych dokumentów, spreparowanych w poprzednim dniu, chowałyśmy je po różnych zakamarkach ubrania i wynosiłyśmy (zwykle wieczorem) do punktów kontaktowych. Czasem po ten „trefny” ładunek

<sup>1</sup> W mojej książce *Czas grozy* podalam inne nazwisko tj. panią Dąbrowską. Była to pomyłka, czemu dziwić się trudno biorąc pod uwagę czas, jaki od tamtych wydarzeń upłynął. Nazwisko pani dr Ireny Czerwińskiej znalazłam w książce L. Tomaszewskiego – *Kronika Wileńska*.

przychodziła jakaś inna osoba, ale zwykle w porozumieniu z panią Czerwińską.

Traktowałam naszą pracę jako ciche, nikomu nie znane zajęcie, zależne tylko od naszej kierowniczkii. Nie prowadzono żadnych zapisów, ile dowodów przybyło, ile zostało wydanych gotowych, nie mówiąc już o wymienianiu nazwisk odbiorców.

Dopiero po bardzo wielu latach po wojnie z różnych publikacji, które coraz częściej się ukazywały dowiedziałam się, że inicjatorem i założycielem naszej „pralni chemicznej” był późniejszy bohater wileńskiej konspiracji, Stanisław Kiałka. Mała wanna pełna chemikali w starym wileńskim mieszkaniu była pierwszą komórką późniejszej sławnej „Legalizacji”.

Wyniki pracy „Legalizacji” powiększały się w dużym tempie. Wkrótce setkami owa komórka wytwarzała różne fałszywe dokumenty, nieraz ratując życie zagrożonym ludziom. Była w pewnym sensie postrachem dla okupanta, zwłaszcza w okresie okupacji niemieckiej. Różne fałszywe zaświadczenia, dowody, „ausweissy” wykonywano z taką dokładnością i precyzją, że wróg nie potrafił w końcu odróżnić, które z nich były autentyczne, a jakie sfalszowane.

Na tych ostatnich bardzo wiele osób poruszało się swobodnie po całym terenie, nawet wyjeżdżając poza obręb Litwy.

W tym ogromnym nasileniu prac legalizacyjnych wkrótce zapomniano nawet, że pierwsze ich owoce wychodziły z połówki od środków chemicznych niewielkiej wanny w domu pani dr Ireny Czerwińskiej.

\*

Po kilku miesiącach zostałam przeniesiona do zupełnie innego zajęcia.

Zostałam łączniczką czy jakimś bardzo podrzędnym pracownikiem w tzw. kołach pułkowych. Sądząc po ludziach, z jakimi się spotykałam, przypuszczam, że przydzielono mnie do koła pułkowego, związanego z artylerią.

Przyznaję, że nic nie wiedziałam, co to jest, nawet nazwa wtedy nie była mi znana. Zajmowałam się tylko jedną, ściśle określoną sprawą: roznosiłam małe kartki do różnych ludzi. O czym na nich pisano –

pojęcia nie miałam. Może i mogłabym kiedy z ciekawości wyczytać w nich coś niecoś, ale gdzież tam: popełnić taki śmiertelny grzech nielojalności – na to mi nie pozwalała moja konspiracyjna uczciwość. Przyносиłam również jakieś karteczki dla swego dowódcy i na tym moja praca się ograniczała.

Dziś nie pamiętam ani pseudonimu ani nazwiska mego zwierzchnika. Przypominam, że był niewysoki, drobny, z małą łysiną wśród siwiejących włosów. Miał poważne, czujne oczy, nie zmieniające wyrazu. Czy mój szef uśmiechał się kiedy? Nie przypominam sobie. Był zawsze porażająco opanowany. Niedługo byłam jego pracownikiem.

W końcu lata 40-go roku, gdy tylko bolszewicy ponownie wrócili do Wilna od razu NKWD rozpoczęło swój diabelski taniec. W całym mieście posypały się liczne areszty. Zabrane też został i mój dowódca. Jakaś dziewczyna przyniosła od pani Łukaszewiczowej tę wiadomość. Musiałam natychmiast zaniechać wszelkiego działania i nie pojawiać się w pobliżu miejsca jego zamieszkania.

\*

Areszt dowódcy nie oznaczał zakończenia mojej pracy konspiracyjnej. Początkowo musiałam bardzo uważać, z nikim się nie spotykałam. Ale ostatecznie sprawa ucicha. Jak wspominałam, mimo stosowanych tortur porucznik nie wydał nikogo, a ja zostałam przeniesiona do innego zajęcia. Przypuszczam, że dalej było to samo koło pułkowe, natomiast zwierzchnika otrzymałam nowego. Pamiętam tylko jego pseudonim: nazywał się „Gołąbek”. Wysoki, postawny oficer miał chyba nieco ponad trzydzieści lat. Jego stosunek do podkomendnej był zupełnie inny. Wprawdzie wymagający i żądający bezwzględności w wykonywaniu poleceń, potrafił w wolnych chwilach i pośmiać się nieco, i anegdotę, zwłaszcza na polityczne tematy, powiedzieć. Traktował mnie zwykle z łagodnym humorem, a czasem, podtrzymując na duchu twierdził, że

— Głupia wojna nie wiadomo co z dziewczynami zrobiła. Wam przecież zabawy, sympatie bardziej pasują – twierdził niż nasze twarde, żołnierskie reguły!

A reguły były rzeczywiście trudne. Co drugi dzień przychodziłam do mieszkania „Gołąbka”, zabierałam znowu jakieś karteluszki i odno-

siłom je pod określone adresy. W dodatku zakres moich obowiązków się poszerzył, a mianowicie czasem uczestniczyłam w jakichś naradach, czasem szłam, by obserwować nieznanym dom, a do tego zostawałam skierowana na kurs szyfrantek.

Wszystkie owe zajęcia musiałam także łączyć z bieganiem na uniwersytet, bo nauki (filologia francuska) nie zaniechałam aż do momentu zamknięcia uczelni przez Niemców, choć czasem trudno było wszystko razem pogodzić.

Porucznik „Gołąbek” mieszkał w okolicy rynku Kalwaryjskiego w stareńkiej drewnianej chałupce. Jeszcze i teraz czasem wspominam skrzyp zniszczonych schodów, po których stapałam pnąc się do jego niewielkiej izdebki.

U „Gołąbka” spotykałam czasem paru innych wojskowych, którzy brali udział w różnych tajemnych naradach. Wśród nich był również „Murzynek”, Zygmunt Szymanowski, który po wyjeździe „Gołąbka” czasowo przejął nade mną władzę.

Nieraz zastanawiałam się, czemu mój zwierzchnik mieszkał w tak strasznych warunkach. I w końcu doszłam do wniosku, że chodziło mu o to, by nikomu specjalnie nie rzucić się w oczy. Mały domek, który zajmował, prawdopodobnie nie zwracał niczyjej uwagi, a przecież o to właśnie chodziło.

\*

Muszę się pochwalić, że kurs szyfrantek skończyłam bardzo dobrze. Jakoby moje umiejętności w tym zakresie były znaczne, tylko okazały się prawie zupełnie nieprzydatne. Coś tam pisywałam czasem pod dyktando szefa, ale odbyło się to zaledwie kilka razy i ostatecznie nie wiem, co się potem z tymi materiałami stało. Chyba jeszcze jedno niepotrzebne działanie rozplynęło się w czasie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. A ja tak się starałam!

\*

Ulica Kalwaryjska nie należała do najelegantszych ulic miasta. Zbudowana przeważnie drewnianymi domami, w których dawniej mieszczyły się różne sklepy i sklepiki. Chodniki stare i powykrzywiane, jezdnie wyłożone „kocimi łbami”.

Gdy sowiecka okupacja zapanowała nad Wilnem, wiele z tych sklepów zostało zamkniętych i zamienionych na pomieszczenia mieszkalne. Niemalże też pojawiło się różnych barów i zajazdów, z których wydzielał się zapach duszonej kapusty, śledzi i taniego piwa. Ten charakterystyczny, a przecież obrzydliwy zapach bił w nozdrza przypadkowych przechodniów biedą i niechlujstwem. Na Kalwaryjskiej teraz zamieszkało sporo sowieckich rodzin i Żydów, emigrantów z zachodnich terenów Polski, zajętych przez Niemców. Nic więc dziwnego, że nawet najkrótsze przebywanie w tej dzielnicy do przyjemności nie należało, zwłaszcza jeśli miało się przy sobie jakieś „trefne” rzeczy. Zawsze zachodziła obawa, że nagle ktoś z tyłu podskoczy, zechce wyrwać niesioną torebkę lub koszyk, a przy okazji złapie niesiony meldunek, pismo czy inną niebezpieczną rzecz i już wysypa gotowa.

Kiedys tak właśnie szłam „z ładunkiem” koło Kalwaryjskiej cerkiewki. Godzina była popołudniowa, więc panowała nieprzyjemna szarówka. Nagle jakiś mężczyzna w sowieckim mundurze ucałował mnie za ramię:

— „Stój dziewczka” – zachrypiał – „Kuda idiesz?”

Zamarłam. Już widziałam siebie prowadzoną do aresztu, już wydawało mi się, że słyszę wrzaski NKWD-zistów nad moją głową. Ale odpowiedziałam opanowanym głosem, że byłam na rynečku koło Cerkwi, by kupić trochę żywności, a teraz wracam do domu. Zofia zaproponował wspólne pójście w *restaurant*. Wykręcałam się, że nie mogę, że się śpieszę, a pilnie rozglądałam się po bokach, gdzieby pozbyć się przykrego towarzystwa.



Cerkiewka przy ul. Kalwaryjskiej. Strajk w lipcu 1944 r. wymaszerowały grupy akowców pod dowództwem Bolesława Żagórnego „Jana”

Tak targując się dotarliśmy do ulicy Krakowskiej. Tu, nie czekając wiele, skoczyłam w prawo, dobiegłam do pierwszej otwartej bramy, a za nią przeskakując jakieś parkaniki dostałam się na następną posesję i już bez trudu powędrowałam dalej. Słyszałam jeszcze jak mój nieznajomy puszczal wiązanki rosyjskich potajanek, ale widać nie zamierzał mnie gonić i poszedł dalej, szukając nowych przygód.

\*

W okolicy Bożego Narodzenia 1940 roku „*Gołąbek*” zapowiedział swoje przybycie wraz z „*Murzynkiem*” do naszego mieszkania. Jakoby były sprawy, które chciał bezpośrednio ze mną omówić. Byłam ogromnie przejęta tak nieoczekiwanymi odwiedzinami, bowiem spotkania w moim domu należały do rzadkości. Czekałam na przybycie gości z bijącym sercem, pokój swój wysprzątałam do połysku, nawet doniczkę z kwiatami ustawiłam na stole.

Obaj oficerowie pojawili się bardzo punktualnie około godziny 17-tej. Na początku omawiali jakieś plany na najbliższą przyszłość z czego, jak zwykle, zrobiłam szyfrem krótką notatkę.

A potem nastąpił wspaniały dla mnie moment. Oto „*Gołąbek*” wstał i oświadczył, że zostaje zaprzysiężona jako żołnierz Związku Walki Zbrojnej (o Armii Krajowej jeszcze się nie mówiło).

Wyprostowaliśmy się wszyscy troje na baczność, ja zaś z wypiekanymi na twarzy powtarzałam za szefem słowa przysięgi. To było coś fantastycznego. Czulałam się tak ważna, tak wywyższona. A przy tym równocześnie postanowiłam w duchu, że nie zdradzę niczego, na co przysięgałam, choćbym miała zapłacić za to życiem. Na zakończenie uściśnaliśmy sobie wzajemnie dłonie, mocno, po żołniersku. Zostałam oficjalnie wprowadzona w krąg wtajemniczonych.

\*

Od pewnego czasu „*Gołąbek*” zaczął nadmieniać, że musi wyjechać służbowo i w dodatku za granicę. Przebąkiwał coś o Francji. Jak zwykle wystukiwałam tych informacji w milczeniu, nie zadając żadnych pytań.

I tak zdaje mi się w marcu na ostatnim spotkaniu przy ul. Kalwaryjskiej mój szef się pożegnał, przekazując mnie czasowo „*Murzynko-*

wi”. Podkreślił słowo – czasowo, bo „*Murzynek*” też wkrótce się wybierał, a ja miałam być przeniesiona do innej komórki.

Nigdy więcej nie spotkałam „*Gołąbka*”. Choć nieraz wracałam myślą do naszej sympatycznej współpracy. Dokąd teraz go los rzucił? Jak dotarł do miejsca przeznaczenia?

A ja, tak jak zostało ustalone, przeszłam pod rozkazy por. „*Murzynka*”. Dla mnie była to służba dość ciężka. Despotyczny szef, kostryczny i bardzo rygorystyczny traktował mnie z pewną dozą lekceważenia, która często była bardzo bolesna. Przez to nieraz budził we mnie niechęć do samej siebie. Może jestem za mało zdyscyplinowana, może za mało inteligentna, że jakoś tak trudno mi się z nim współpracuje. Toteż, kiedy dowiedziałam się, że kończy się moja u niego służba, byłam naprawdę zadowolona. Uff, nareszcie. „*Murzynek*”, jak było przewidziane, też zniknął z horyzontu, a ja koło Wielkanocy trafiłam pod kierownictwo ppor. „*Zielonki*”.

Zakres moich obowiązków u ppor. „*Zielonki*” okazał się całkiem odmienny od dotychczasowych. O ile przedtem chodziłam do różnych osób nosząc im polecenia czy informacje, to tym razem musiałam od nich zbierać informacje o tematyce zajęć w ich kręgach, o terminie i przebiegu ćwiczeń, (chyba załączków ćwiczeń wojskowych), o ilości uczestników zespołów. Wszystkie owe wiadomości nie mogły być dla bezpieczeństwa zapisywane, toteż wykuwałam je na pamięć, powtarzając treść kilkakrotnie przed sobą, aby broń Boże się nie pomylić.

Miałam ośmiu informatorów. Każdy z nich, jak się wkrótce zorientowałam, dowodził małą grupą podkomendnych, nie większą jednak niż pięć osób. Do nich też prócz ćwiczeń należało zdobywanie i przechowywanie broni, a także różne zajęcia terenowe. Gdzie się one odbywały, nie wiem. Lecz przypuszczam, że raczej z dala od miasta, może na Wotokumpii, na Rowach Sapieżyńskich, czy w kierunku jeziora Sałato.

Sądząc z charakteru tych zajęć myślę, że nadal były to prace kół pułkowych. A ponieważ ppor. „*Zielonka*” był oficerem artylerii, widać nadal pracowałam dla Koła tej właśnie formacji wojskowej.

Niestety dla bezpieczeństwa, dla zachowania jak najściślejszej tajemnicy, zapisów żadnych z tych akcji nie robiono. Wszystkie pozostawało w pamięci dowódców i bezpośrednich uczestników działań.



Moje pierwsze spotkanie z ppor. „Zielonką” odbywało się w mieszkaniu jego krewnych czy przyjaciół przy ul. Mostowej.

Mój nowy zwierzchnik, poza sprawami służbowymi, zawsze znalazł czas, by trochę ze mną pogawędzić, pożartować, a nieraz opowiedzieć parę szczegółów z ostatnich przeżyć wojennych. Z jego opowiadań zdołałam wywnioskować, że miał jakieś bardzo ciężkie przeżycia osobiste.

Tak mi minął względnie spokojnie marzec i kwiecień 1941 roku. Widywałam się z szefem dość często i zawsze każde spotkanie z nim sprawiało mi wiele radości. Szef umiał nawiązać nie tylko służbowe, lecz i przyjacielskie kontakty. W maju zaś na skutek szalejących w mieście aresztów i coraz trudniejszych warunków dla pracy konspiracyjnej – ppor. „Zielonka” wyniósł się z Wilna do Kolonii Wileńskiej. Ale działalność swą nie zaniechał. Toteż musiałam i tam do niego docierać, czasem jadąc pociągiem, czasem wędrując pieszo przez Belmont, Rossę i dalej. Lubiłam nawet te dość długie spacery, bo trasa była urozmaicona wśród podwileńskich wzgórz. A i pewność nieco większa, że nikogo niepotrzebnego nie spotkam.

\*

W czerwcu życie konspiracyjne w mieście nieomal zamarło. Był rozkaz, by powstrzymać się od wszelkich działań, wykonując tylko te najkonieczniejsze. „Zielonka” jeszcze coś wykańczał, jeszcze zachowywał kontakty z niektórymi ludźmi. Toteż i ja zjawiałam się u niego, choć o wiele rzadziej.

Mieszkał w niesłychanie malowniczym miejscu: niewielki, ładny domek stał na wzgórzu – na działce, na której gospodarze prowadzili hodowlę róż. W wiosennych miesiącach rozpoczynano się już ich kwitnienie. Zapach był oszałamiający, dom nieomal tonął w bogactwie tych królewskich kwiatów. Działka była własnością tych samych ludzi, u których mieszkał w Wilnie. Ładnie urządzone wnętrza wyrażnie mówiło o zamożności gospodarzy.

To był ostatni raz, kiedy przyszedłam do szefa z kilku informacjami. W domu prócz „Zielonki” nikogo nie było, a on sam po powrocie z Porubanku, gdzie miał jakieś spotkanie, wyglądał na bardzo zmęczonego. Jak dziś pamiętam, rozłożył sobie na werandzie materac i leżał

na nim czytając jakąś książkę. Ucieszył się na mój widok, bo czekał na niesione przeze mnie wieści. Wysłuchał ich uważnie. I właśnie wtedy oświadczył, że musimy zrobić ostateczną przerwę w widzeniach, bo taki dziś padł rozkaz na odprawie na Porubanku. Dopóki Sowietci szaleją, trzeba całkowicie zaniechać pracy. Takie polecenie miałam jak najszybciej zanieść do wszystkich podkomendnych.

— Przyjdź lepsze czasy – mówił – wrócimy do swego. Na razie widocznie trzeba odpocząć.

I tak zaczęliśmy rozmawiać o różnych zwyczajnych sprawach, nie związanych ze służbą. Wtedy właśnie przyznałam się, nie wiem, po co, że jeszcze nigdy nie byłam na żadnym balu. Nie zdążyłam po prostu. A tak mi się marzy piękna sala, orkiestra, wspaniałe stroje.

„Zielonka” się uśmiechnął pogodnie, pogłodził mnie przyjacielskim ruchem po ramieniu – a siedziałam na schodkach werandy – i oświadczył:

— Nie ma nic straconego, „Reginka” (taki był mój pseudonim). Skończy się wojna, a wtedy zaproszę cię na bal do oficerskiego Kasyna (spłoneło całkowicie podczas walk w Wilnie w 1944 roku) ale pamiętaj, że pierwszy taniec będzie należał do mnie. Choć może będziesz mnie uważała za starego, z którym nie warto tańczyć. Lecz ja nie daruję.

— Boże, co on sobie myślał ten mój zwierzchnik? On stary? Ten postawny, elegancki oficer, w którym widziałam wtedy wszystkie najwspanialsze cechy rasowego mężczyzny.

Nie powiedziałam ani słowa, jak dumna byłam z takiej propozycji. Pogawędziliśmy jeszcze trochę, ot tak, o niczym właściwie. Jedliśmy truskawki świeżo zerwane z ogródka i ani spostrzegaliśmy, że czas już mi był wracać do domu.

— No to czasowo musimy się pożegnać, ale nie zapominaj o mnie „Reginko” i kiedyś tak sobie bez obowiązków wybierz się na wycieczkę do Kolonii. Widzisz jak tu ładnie?

Zebrałam się więc do powrotu, ale jeszcze na pożegnanie ppor. „Zielonka” zrecznie wdrapał się na rosnący przy drodze świerk i ulamał mi kilka kwitnących świerkowych gałęzi. Może mało kto wie, że świerki kwitną, zanim ich kwiaty uformują się w szyszki. Piękne, mięsiste, czerwone kwiaty. Zebrałam całą naręcz tych gałęzi i powoli powędrowałam w dół w kierunku Wilna. Jeszcze się odwróciłam za siebie i widzia-

lam szefa, jak stał pod świerkiem i machał mi ręką na pożegnanie. To była moja ostatnia akcja w roku 1941. W miesiąc potem wybuchła wojna sowiecko-niemiecka i życie potoczyło się zupełnie inaczej.

\*

Więc służba chwilowo się zakończyła. Mieszkańcy Wilna zaś żyli w straszliwym napięciu, bo bolszewicy rozpoczęli masowe wywózki ludności. Nikt nie był pewien jutra. W każdym niemal domu przygotowano worki z najniezbędniejszymi rzeczami i żywnością na wypadek, jeśli wieczorem rozpocznie się łomotanie do drzwi i wrzask:  
— *Aktrojicie!*

## DWA ZWYKŁE DNI

Starzejemy się, chorujemy, odchodzimy. Powoli zamykają się za nami karty historii, znika w przeszłości nasza piękna, choć tragiczna młodość, nasza wiara w słuszną i potrzebę tego, co robiliśmy.

Siwe głowy już nie wznoszą się wojowniczo, bystre ongiś oczy już nie patrzą czujnie wokoło, już myśl, nie tak lotna jak kiedyś krąży raczej przy dzisiejszych zwykłych sprawach. Spotkania z dziećmi, wnukami, czasem z prawnukami, dawno zastąpiły owe dalekie marsze, pełne niebezpieczeństw, owe schadzki w zakonspirowanych lokalach, owe meldunki czy inne pisma i dokumenty niesione w niewinnych koszykach z podwójnym dnem, w woreczkach zawieszonych na szyi, wszyte pod podszeawką płaszcza. I kilometry przebytých dróg, dość rzadko dzięki pomocy jakiegoś przygodnego pojazdu. Przeważnie na nogach obolałych, jakże wytrwałych w tym ustawicznym marszu.

Łączniczki – młode, radosne dziewczyny, prawie bezimiennie wykonujące swe obowiązki. Dumne z rangi tych obowiązków.

Służba pomocnicza, często nie zapisana w dziejach walk o ziemie kresowe, a przecież ważne i nie zastąpione. Co by robiły kadry dwodcze oddziałów, ukrytych w głębokich lasach, gdyby im dziewczyny nie przynosiły rozkazów, poleceń, meldunków?

Były żywą linią telefoniczną, przekaznikami radiowymi, pocztą noszącą listy dla czekających na wieści z domu partyzantów. Zwyczajne dziewczyny. Radość ze zwycięskich walk nie była ich udziałem, nie miały czasem możliwości podzielenia się wrażeniami ze swych przeżyć. Bo partyzanci opowiadali wiele i z dumą o swoich. Cieszyli się z każdej wygranej walki, z podstępnie odebranej wrogowi broni czy nawet samochodu, ze swych bohaterских wyczynów. Nie, dziewczyny nie miały takich znakomych momentów, nie walczyły. Szyły, niszyły, zjawiały się i odchodziły, znane kilku osobom. Szare, ofiarne mrok, tak niezbędne śrubki w skomplikowanej maszynie walk o niepodległość ziem kresowych.

Dziś minęło ponad pół wieku od tamtych zdarzeń. Pół wieku to na kartach historii jakiś ślad. Starsze, nieraz sterane życiem kobiety nie zawsze potrafią odtworzyć wydarzenia, w których uczestniczyły. I pamięć nieraz zawodzi i ludzie, z którymi wtedy stykał je los, coraz liczniej odchodzą. Wyraźnie robi się luźniej w naszych szeregach. Więc trzeba, mimo różnych utłumności, spieszyć się, by choć w części opowiedzieć lub zapisać dzieje naszej młodości, które często dla obecnej młodzieży wydają się egzotyczną, kolorową bajką. Słuchają, zardroszczą nawet w głębi ducha, lecz niekoniecznie wierzą. Babcia łączniczka... Co wspólnego mogła mieć tamta obładowana „trefnymi” materiałami dzielna dziewczyna z naszą babcią, siwiutką, skromnie siedzącą w fotelu?

Stwierdzając nieraz ze smutkiem, że na ogół mało znane losy łączniczek wkrótce zupełnie zginą w skąpo dziś ukazywanej historii walk o niepodległość kresów północno-wschodnich II Rzeczypospolitej, zdecydowałam utrwalić trochę faktów z tamtego swego życia.

Długo zastanawiałam się, jaki fragment tych dziejów powinienem ukazać. Zresztą napisałam już nieco na ten temat. Pojawiły się moje opracowania i o początkach konspiracji, i o życiu w naszym Wilnie podczas zmieniających się okupacji, i o smutnej przymusowej ekspatriacji Polaków, wyrzuconych ze swych ziem rodzinnych. I wrzeszczę o długich latach, spędzonych w sowieckich łagrach, jako skutkach burzliwej niespokojnej przeszłości.

Co wybrać? Jak pokazać łączniczkę „Agatę”, wykonującą swoje „służbowe” obowiązki? Ostatecznie zdecydowałam się ukazać poni-

żej jeden obrazek ze swego wojowniczego życia, nie relacjonujący żadnych bohaterkich przeżyć. Zwyczajnie – długa droga do celu, pełna niepewności i dobrych nadziei, tak mało ważna w ogólnym obrachunku, a tak trudna dla zagubionej w pewnym momencie, zmęczonej i zziębniętej dziewczyny.

Rok 1945 coraz bardziej zaciskał sowiecką pętlę wokół życia ludności polskiej w Wilnie. Codziennie areszty, łapanki, nie kończące się śledztwa w słynnym gmachu NKGB przy ul. Ofiarnej, wywózki do dalekich łagrów.

Ludność polska przerażona i załamana, nie widząc żadnych pozytywnych perspektyw w egzystowaniu w umiłowanym mieście, tłoczyła się w Urzędzie Repatriacyjnym przy ul. Mała Pohulanka, ubiegając się o możliwość jak najszybszego wydostania się za Bug do tworzącej się Polski Ludowej. Zdominowanej, podporządkowanej Związкови Sowieckiemu, ale przecież Polski.

W tych tragicznych warunkach działało jeszcze w Wilnie i na Wileńszczyźnie polskie podziemie.

Po aresztowaniu kolejnych komendantów okręgu AK i działaczy Delegatury Rządu powstała i trwała nadal następna Komenda Okręgu i następna Delegatura Rządu. Ludzie podziemia pracowali wciąż mimo bardzo trudnych sytuacji.

Gdy wyjechał za Bug ostatni Komendant Okręgu, mjr „Pohorecki” Antoni Olechnowicz, obowiązki po nim przejął mjr Wincenty Chrzęsz-



Antoni Olechnowicz, Pohorecki



Zygmunt Fedorowicz, Albin



Jerzy Dobrzański, Marciej

czewski „Kruk”, „Janusz”. Gdy aresztowano Delegata, dr Zygmunta Fedorowicza, jego miejsce zajął dr Jerzy Dobrzański.

Praca podziemia ograniczała się do kolejnego systematycznego likwidowania dotychczasowych struktur i przetrwania zagrożonych ludzi drogą legalną lub nielegalną na zachód z nadzieją, że w niezna-nej Polsce będzie jakoś inaczej.

Wobec powtarzających się aresztów, zasadzek i wywózek do łagrów zespolo ludzi, działających w konspiracji, znacznie się zmniejszyły. Uwaga Komendy była zwrócona przede wszystkim na grupy partyzanckie przebywające jeszcze w małych oddziałach wśród rozległych puszczańskich terenów. Należało poświęcić im jak największą uwagę starając się partiami wysyłać ich zagranicę. Na razie większość tkwiła w lasach.

Pracując jako zastępca pełnomocnika Urzędu Repatriacyjnego na rejon Wilno zajmowałam się, poza oficjalną pracą, wysyłaniem w transportach do Polski ludzi zagrożonych, dla których należało tworzyć zakonspirowane warunki wyjazdowe. Lecz i innych dawnych AK-owców też upychało się w ogromnej masie wyjeżdżających eks-patriantów.

Obok tej pracy, wobec już znacznych braków w kadrze konspiracyjnej, wykonywałam tak jak i inni koledy i koleżanki różne inne nakazane zadania, niezbędne w danym momencie.

Tak to w marcu 1945 r. otrzymałam od „Kruka” polecenie dotarcia do por. Bersagowa-Plawińskiego „Ciotki”, będącego dowódcą kilku małych oddziałów stacjonujących w lasach za Michaliszkami. Nazwa tej miejscowości dziś zdażyła uciec z pamięci.

Musiłam dostarczyć meldunki ustne i na piśmie, przekazać blankiety (karty repatriacyjne) do wypełnienia dla przewidzianych na wyjazd i zanieść kilka listów pisanych przez rodziny do ukrywających się chłopaków.

Wobec chwilowego zastoju w odprawianiu transportów nie miałam trudności z uzyskaniem dwóch dni urlopu, rzekomo celem wyjazdu na wieś dla zdobycia żywności. Cel przez wszystkich zawsze rozumiany i honorowany.

W oznaczonym dniu ubrana w krótki kożuch, w narciarskich butach, w chustce zamotanaj na głowie, z plecakiem, pozorującym wy-

jazd po zakupy, wyruszyłam z domu nie wzbudzając w domownikach żadnych podejrzeń. Wszak nieraz przychodziło mi wyjeżdżać po to do różnych wsi. Pod pachą miałam umocowany mały woreczek, do którego włożyłam wszystkie materiały do przekazania, nawet jaś pieczątką wśród nich się znalazła, choć nie przypominam sobie komu miała służyć. W wewnętrznej stronie ciepłych reform wszyłam kieszeń, do której zapakowałam pocztę dla żołnierzy. Dzień zapowiadał się ładnie. Słońce świeciło już od rana, choć marcową zmienna pogoda mogła potem przynieść różne niespodzianki. No i chłód wczesnowiosenny był jeszcze odczuwalny, a płaty brudnego, topniejącego śniegu leżały na poboczach ulic przedmieścia. Do miejsca przeznaczenia miałam do przebycia 45 kilometrów, przy czym szef zastrzegł, że jest to szlak nie przetarty, będę musiała sama go rozpoznąć. Dał mi tylko kilka wskazówek i podał znaki umowne, jakie za Michaliszkami będę napotykała. Ale nie miał pewności, czy będą one na właściwych miejscach.

— Liczę na twoją inteligencję. Na pewno dasz sobie radę, ale młodek musisz jak najszybciej „Ciotce” dostarczyć! — powiedział mi „Kruk” na pożegnanie.

Rano ruszyłam w drogę. Z dojazdem do Michaliszek problemu nie było. Po szosie często przejeżdżały samotne ciężarówki, więc wyglądało bardzo niepozornie i nie wzbudzając podejrzeń mogłam którąś z nich zatrzymać i za ówiartkę „samogonki” niemal luksusowo tę drogę przebyć. Sowieciom wystarczyło, że jadę po zdobycie żywności, o nic więcej nie pytali, a ja w wielkim pustym pojeździe przerzucana na zakrętach od ściany do ściany mogłam spokojnie przebyć 20 kilometrów.

W Michaliszkach barabaniąc w budę szoferki zatrzymałam wiozący mnie samochód. Sowieci byli zdziwieni, że chcę już wysiadać, ale coś im tam przekonująco wytłumaczyłam, więc jeden z nich pomógł mi nawet wysiąść, stwierdzając przy tym:

— Ty, dziewczyno, mogłabyś jeszcze dalej z nami jechać. Potem byśmy trochę „zahulali”!

Ale zasadniczo żadnych pretensji nie mieli i pojechali dalej. Gdy samochód zginął za zakrętem, ruszyłam przez miasteczko pod wskazany kontaktowy adres. Po solidnym nakarmieniu mnie jajeczną smar-

żoną na grubych skwarkach, po napojeniu upragnioną gorącą herbata (namowicie wypicia małej szklanceczki bimbrowo stanowczo się przeciwi-łam) gospodarz, ten poczciwy polski „tutejszy”, wyprowadził mnie na drogę udzielając szczegółowych wskazówek, jak mam iść dalej. Wskazówki wskazałam, ale czekało mnie 25 kilometrów nieznanej drogi, którą przecież musiałam przebrnąć pieszo. I szłam. Przez pola, przez lasy, omijając według udzielonych rad ludzkie osady. Drogami rozjeżdżonymi, pełnymi topniejącego śniegu i błota. Natomiast po słonecznym poranku niebo się zachmurzyło i zaczął padać drobny, śniący deszcz kapuśniaczek. Od wojowania z nierównościami drogi, od wpadania czasem do niezauważalnych kałuż szybko poobcierałam nogi, mimo że chroniły je wełniane skarpety. Zaczęły boleć pa-skudnie przy każdym kroku. Wreszcie po jakimś czasie ból zrobił się tak uciążliwy, nie pozwalał iść, że ostatecznie zdjęłam buty, przewiesiłam je na ramię i ruszyłam boso dalej. Marzec, nie całkiem rozmarznięta ziemia i ten marsz na bosaka, nie, nie było to zbyt rozsądnie z mojej strony, ale iść przecież musiałam. I ten deszczyk, który coraz bardziej stawał się dokuczliwy. Powoli przemokło całe ubranie.

Dla uzupełnienia wszystkich kłopotów, jakie na mnie spadały, jeszcze się okazało, że wcale nie ma w przewidzianych miejscach ustalonych znaków. Była okorwana sosna to prawda, ale z lewej strony, nie z prawej i trzy brzozy stały inaczej. Wreszcie nie spotkałam żadnego mostku na przepływowej rzeczce, a dopiero gdzieś tam dużo dalej opuszczała się nad potokiem pochylona wierzba, jej gałęzie sięgały drugiego brzegu. Nie było innej rady, musiałam przechodzić po niej. Śliska i mokra powierzchnia ciągle groziła upadkiem i to prosto w lodowatą wodę. Przyznaję, miałam ogromną tremę, czy uda się szczęśliwie ową przeszkodę przekroczyć. Lecz udało się. Potem były dalsze kręcenia się po rozlicznych ścieżkach, błędzenia i powroty. Ile już kilometrów miałam za sobą, nie wiem, a przewidzianego celu, czyli niewielkiej zagrody za zalesionym pagórkim ciągle nie widziałam. Zbliżał się zmierzch; w gęstym deszczu wszystko wydawało się zupełnie beznadziejne. Nie miałam sił żeby iść dalej, więc siadłam z rezygnacją na niewysokim pnium pod rozłożystą sosną, żeby nieco myśli zebrać i... rozbezczałam się, po prostu się rozptałam. Byłam zmarznięta, mokra i głodna w zupełnie nie znanym terenie. Co robić dalej?

Dokąd iść? Choćby ludzi jakichś zapytać o drogę. Czyż miałabym nocować w tym lesie? A w głowie chodziło ciągle, że muszę, muszę jak najszybciej donieść meldunek.

Nagle, gdzieś z lewej strony od drogi w niewielkiej kotlinie za lasem błysnęły białe ściany jakiegoś domostwa. Boże, cud niemal. Zdecydowałam natychmiast kierując się chyba intuicją, że zaryzykuje, dojdę tam, wymyślę bardziej prawdopodobną bajkę i poproszę o nocleg. Potem będę zastanawiała się, co robić dalej. Sama myśl, że mogę wkrótce znaleźć się w normalnym ludzkim pomieszczeniu, w którym poczuję przed wszystkim ciepło, przyprawiała mnie o prawdziwy zawrót głowy. Naciągnęłam mokre buty na bosc nogi i podpierając się znalezionej kijkiem powlokłam się do nieznajomej chatupy. Zanim doszłam, już światła zapaliły się w oknach, widać będzie wkrótce dwudziesta godzina. Zapukałam nieśmiało do drzwi, przeżegnawszy się wcześniej, by był to dom przyjazny. Posłyszałam szuranie, potem odsuwanie zasuw drzwiowej i jakaś kobieta stanęła w progu.

Staralam się coś wytłumaczyć, o coś prosić, ale cały mój widok był tak oplakany, że nie wzbudzałam żadnych podejrzeń. Ot, jakas zabłąkana dziewczyna. Czasem kręciły się tu podobne. Za gospodynią stał jej mąż trzymając lampę naftową w rękę, a obok niego inny mężczyzna. Wpuszczono mnie do sieni i wtedy zobaczyłam, że ten drugi to przecież żołnierz z 3. Brygady, którego kiedyś tam spotkałam, Zenon Jankowski „Zemsta”. Dogadaliśmy się natychmiast i okazało się, że jestem akurat w prawidłowym miejscu. Właśnie w tej wsi ma kwatery „Ciotka”. Oczekiwali przybycia łącznika z Wilna, więc „Zemsta” poszedł wy badać sytuację.

Atmosfera od razu zrobiła się wspaniała. Przede wszystkim gospodyni zaprowadziła mnie do komory, gdzie mi pomogła zdjąć całe przemoczone ubranie. Kozuch, spódnica, bluzka, bielizna – wszystko przemoczone do cna. Chustę zwyczajnie wykręcałam z wody. Odwijałam z ramienia woreczek z dokumentami i one też były mokre. Rozłożyłam je na piecu, dopiero po wyschnięciu mogłam nadawać się do odczytania. Tylko listy przedstawiały się bardziej możliwe, bo schowałam je po wewnętrznej stronie uda, gdzie deszcz aż tak silnie nie docierał.

Cale ubranie zostało rozmieszczane na sznurze wzdłuż pieca, buty ustawione na rozgrzanej płytce kuchennej. Gospodyni przyniosła mi

J11-10  
naczynie z ciepłą wodą, mydło i ręcznik. Chlapałam się z rozkoszą, potem wymoczyłam obolate nogi i wreszcie ubrana w pożyczoną wielką koszulę, szeroką spódnicę i ciepły kaftan wróciłam do pierwszej izby.

Tu czekała na mnie miska gorącego krupniku, pajda czarnego, prawdziwie wiejskiego chleba i kubek herbaty. Pałaszowałam te specjalne iapczywością, nie zważając na ważne spojrzenia siedzących naprzeciwko uśmiechniętych dobroliwie osób.

Kiedy skończyłam jedzenie i odetchnęłam, „Zemsta” oświadczył, że chyba nie ma co dziś ze mną rozmawiać. Tym bardziej, że i przyniesione meldunki muszą najpierw wyschnąć, aby nadawały się do przeczytania. Wraca więc do „Ciotki”, by zameldować, że dotarłam, zostawia mnie, bym się dobrze wyspała, a nazajutrz rano „skoro świt” zabierze mnie na kwatery dowódcy.

W sąsiednim pokoju czekało wielkie rozłożyste gościnne łóżce, przykryte czerwoną pierzyną. Wciskając się pod nią odczułam taką rozkosz, że przez chwilę z wrażenia usnąć nie mogłam niemal nie wierząc, że jednak dobrnęłam do miejsca przeznaczenia i że to wszystko jest prawdą. Po paru minutach spokojnie zasnąłam, naprawdę w tym momencie bardzo szczęśliwa.

Zgodnie z zapowiedzią Jankowski zjawił się nazajutrz rano. Byłam już przygotowana do wyjścia. Ubranie, nawet buty wyschły przez noc. Tylko kozuch miał w sobie jeszcze sporo wilgoci. Gospodyni ponownie zawiesiła go nad płytą kuchenną, a mnie jeszcze sporo wylgoci. Gospodyni ponownie zawiesiła go nad płytą kuchenną, a mnie jeszcze sporo wylgoci. Gospodyni ponownie zawiesiła go nad płytą kuchenną, a mnie jeszcze sporo wylgoci.

Przyniesione papierki inaczej po wyschnięciu wyglądały. Zgarnęłam je do woreczka, którego nie musiałam teraz mocować pod pachą.

I poszliśmy. Wiesz okazała się długa, ukryta za leśnym pasmem. Pewnie dlatego początkowo jej nie dojrzałam. Zresztą zmęczona wtedy byłam bardzo, przez co chyba zmyśl obserwacyjny nieco osłabił.

Szliśmy za oplotkami domostw do zagrody, stojącej na samym końcu. Kiedy zaś „Zemsta” otworzył drzwi domu, ukazał się w nich śmiejący się „Ciotka”. Czamy, bardziej obrośnięty niż zwykle, przypomniał raczej watażkę niż oficera. Nic dziwnego w jego wyglądzie nie było. „Ciotka” z pochodzenia był pół Polakiem pół Gruzinem. Skończył podchorążówkę kawalerii w Komorowie i zawsze podkreślał swoją polskość. Dał tego dowody zarówno podczas działań wojennych w

39-tym roku, jak i w późniejszych trudnych latach konspiracyjnych. Lecz zawsze wyróżniał się ciemną gruzińską urodą.

Więc śmiał się głośno teraz witając się ze mną serdecznie:

— Oj Agatko, chyba deszcz cię nam przyniósł, bo ciebie tośmy się nie spodziewali – powiedział – siedzisz w mieście, krążysz wokół spraw repatriacyjnych, jaki czart cię przyprowadził tutaj?

— A właśnie czart – odparowałam – bo ten deszcz wcale mnie w drodze nie pomógł. Odwrotnie, przemokłam do ostatniej nitki. W dodatku błędziłam kręcąc się nieraz wokoło jednego miejsca, bo nikt nie raczył podać dokładnej trasy, a i znaki orientacyjne spotykałam niezgodne z informacją. Kto tu zawinił, nie wiem, w każdym razie wędrowałam cały dzień, tracąc w końcu nadzieję, że do was dotrę.

— Ale dotarłaś – zawołał „Ciotka” – i to jest najważniejsze.

Od razu przekazałam ustne meldunki. Napisane zaś, choć nieco rozmazane i poślizgnięte od namoknięcia, dawały się teraz swobodnie odczytać. Po chwili przyszedł „Leon” (nn), dowódca plutonu, stacjonującego w dwóch sąsiadujących wioskach. Przyniósłam mu list od żony i kilka kartek dla chłopaków.

— Ale się ucieszę – westchnął „Leon” – bo nam smutno w tej głuszy, tęsknimy do swoich, każda wieść od nich jest taka ważna. A może przeszlibyśmy się do żołnierzy. Zobaczyłabyś, jak żyją polscy „bandyci”. „Ruscy” przecież nas inaczej nie nazywają.

O nie, wcale mi się nie chciało iść jeszcze dalej. Obolałe nogi niezupnie wyczołgały się po nocy i na najkrótszy nawet spacer nie miały ochoty.

Więc zrezygnowaliśmy z zamiaru wycieczki, a po obfitym śniadaniu, podanym na stole przykrytym białym obrusem (gospodyni tego domu z wielkim przejęciem obsługiwała przybyłych gości), zabraliśmy się do dalszej roboty. Czasu nie miałam za wiele, bo jeszcze tego dnia musiałam powrócić. „Kruk” w Wilnie na pewno z niecierpliwością oczekiwał na wiadomości.

Przyznam szczerze, z niepokojem myślałam o powrotnej drodze. Jak sobie poradzę mając takie bąble na stopach? Na razie jednak nie należało nad tym się zastanawiać. „Ciotka” nie przekazywał mi żadnych spraw na piśmie, z czego byłam ogromnie rada. Natomiast wbił mi w głowę wszelkie informacje dla przekazania „Krukowi”. Dotyczyły przede wszystkim stacjonowania plutonów, aktualnego stanu

osobowego, przebiegu szkolenia, przygotowania do ewentualnej ewakuacji. Musiałam zapamiętać wszystko i dokładnie przekazać. Przyznam szczerze, że nie byłam zbyt zachwycona taką ilością „wkuwanej” wiedzy. A jeśli mnie NKWD przechwyci? A jeśli zacząną prowadzić swoimi metodami śledztwo? Czy wytrzymam? Doszłam jednak do wniosku, że na pewno szczęśliwa gwiżdża doprowadzi mnie do Wilna bez kolizyjnie. Narada trwała krótko, ponieważ jeszcze za dnia musiałam wracać. Aż tu spotkałam się z niespodzianką – „Ciotka” zorganizował mi podróż furmanką. Gospodarz z sąsiedniego domu (wtajemniczony) podjął się odwieźć mnie do Michaliszek, stamtąd zaś dojazd jest znacznie łatwiejszy. Jak nie napotkana inna furmanka, to znowu z konieczności można złapać sowiecką ciężarówkę, których wiele jechało po ruchliwej michaliskiej szosie. Nie miałam przy sobie nic „trefnego”, byłam więc prawie bezpieczna. Tym bardziej, iż dostałam w darze pół bochna chleba i woreczek mąki. Załadowałam je z wielką wdzięcznością do plecaka, pożegnałam się ze znajomymi, „Zemsta” odprowadził mnie do czekającej już furmanki. Podjechalśmy nią do domu, do którego wczoraj przyszedłam. Oddałam gospodyni pożyczone ubranie, zabrałam swój zupełnie wysuszony kożuch, znowu owinęłam głowę chustką aż po same oczy, zawiesiłam plecak i... w drogę!

Do Wilna dotarłam wieczorem, ale jeszcze przed godziną nakazową. W Michaliszkach udało mi się bez specjalnego czekania złapać sowiecką półciężarówkę; kierowca i pomocnik byli dość uprzejmi, nie zaczęli ordynarnie, a nawet zaproponowali mi miejsce w szoferce. Nie, wolałam przy szoferce, ale z drugiej strony, to jest w skrzyni.

W domu matka już się nieco niepokoiła moją dwudniową nieobecnością, ale jak zwykle milczała, nie wypytywała o nic.

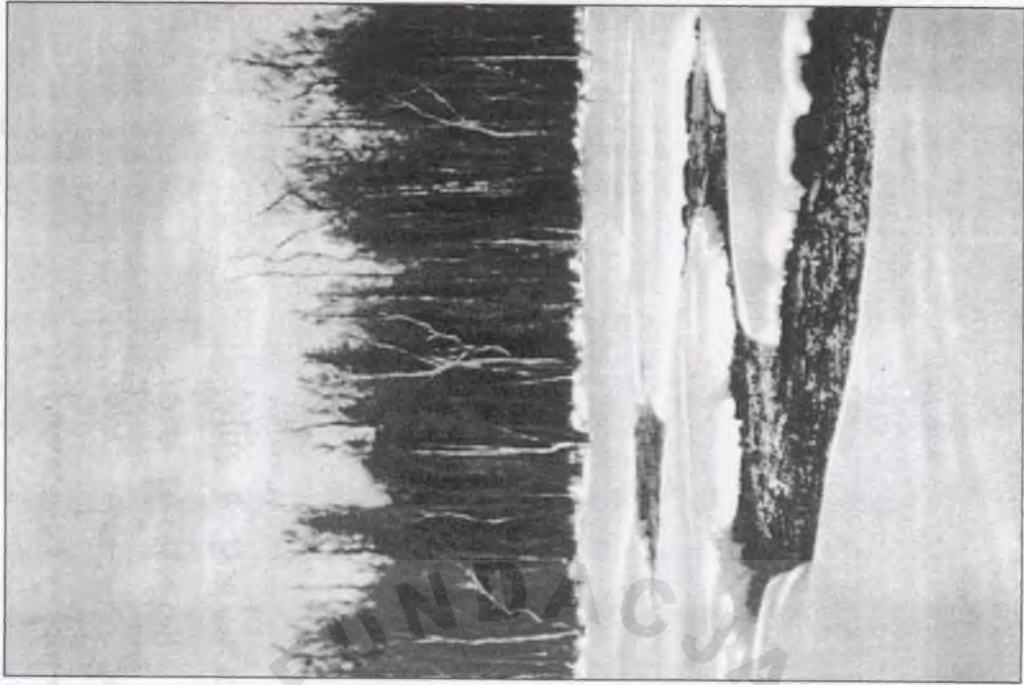
Nazajutrz od rana, jak gdyby nigdy nic, siedziałam przy swoim biurku w Urzędzie Repatriacyjnym, przyjmując interesantów, których tego dnia zjawilo się wielu. Każdy miał swoje kłopoty, niepokoję, różnie zapytania. Na wszystkie musiałam w miarę wyczerpująco odpowiadać pamiętając, jaką tragedię przeżywają ci ludzie, wypędzani ze swych gniazd. Potem była przerwa na obiad, którą wykorzystałam, aby pójść na ul. Kasztanową na spotkanie z Chrzaszczewskim. Wiadomości wszystkie przekazałam dokładnie, jeszcze dodatkowo „Kruk” o coś pytał. A ja nie omieszkałam złośliwie podkreślić, że znaki orien-

I-M-12

tacyjne okazały się niezupełnie jasne, przez co musiałam błędzić przez cały dzień. „Kruk” się zaśmiała, a poklepawszy mnie po ramieniu powiedział, że przecież wszystko sama sprostowałam, toteż następne łączniczki nie będą miały podobnych przygód. No, właśnie i po kłopotcie! Mogłam spokojnie odejść. Ale przed wyjściem dostałam pajdę chleba posmarowaną smalcem i kubek kawy zbożowej, bo dowiedziano się, że jestem bez obiadu, a idę teraz na stację towarową, gdzie czeka mnie oficjalna odprawa spóźnionego w czasie transportu ekspatriacyjnego. Wróciłam więc do Urzędu, skąd na stację zawiozła mnie służbowa ciężarówka. To był nasz świetny pojazd, z którego byliśmy bardzo dumni, bo zawsze jechał z przytwierdzoną biało-czerwoną chorągiewką.

I znowu przy transporcie byłam panią pełnomocnik, stemplowałam i podpisywałam spisy wyjeżdżających, odwiedzałam wagony zajmowane przez przybywających „repatriantów”, starając się przy każdym powiedzieć parę słów dla dodania otuchy. Potem była jeszcze krótka narada z urzędnikiem konwojującym transport i koniec zajęć na ten dzień. Do domu odwiózł mnie nasz samochód około północy.

Tak mniej więcej wyglądały moje dni w Wilnie. Dzieliłam je pomiędzy pracę w Urzędzie Repatriacyjnym a działalnością konspiracyjną, aż do 16 sierpnia, to jest do dnia, w którym zostałam aresztowana.



Zob. Łączniaki Okręgu Wileńsko-Stomogrodzkiego AK

Wspomnienia, informacje biograficzne  
oprac. Leszek Jan Malinowski  
Tow. Miłośników Wilena

Oddz. 4 Bydgoszcz 2001, s. 122-143





V. Nazwiskové karty informacyjne

T: 3598 / WSK

HOPPEU Jadwiga

zam. Zawadzka

ps "Regina", "Jagata"

2

nr. 3598 / NSK

AK  
Lino

†† HOPPEN-ZAWADZKA Jadwiga

ps. "Regina", "Agata"

zm. 16.08.2005 w Łodzi

EF.04.25

2.01.2006 B.R.

T. 35 98/USK

Pograżeni w smutku zawiadamiamy, że 16 sierpnia 2005 r.  
zmarła najukochańsza Mama, Babcia i Prababcia

S.P.

**Jadwiga Zawadzka**  
z domu Hoppen

urodzona w Wilnie

Żołnierz SZP, ZWZ i AK Okręgu Wileńskiego w latach 1939-1945,  
więzień łagrów od 1945 do 1955 r.,  
członek Światowego Związku Żołnierzy AK,  
autorka ośmiu książek o tematyce wspomnieniowej.

Odnaczona Krzyżami:

Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,  
Zasługi z Mieczami i Armii Krajowej,  
medalami 30-lecia Polski Ludowej i dr. Henryka Jordana  
oraz odznakami Weterana Walk o Niepodległość i „Akcji Burza”.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się 22 sierpnia 2005 r.  
o godz 12.30 na cmentarzu rzymskokatolickim  
w Łodzi przy ul. Szczecińskiej

najbliższa rodzina

1. Gen. wyl. 08.2005

i

T. 3598 / WSK

AK  
Wilno

†† Zawadzka Jadwiga  
z d. Hoppen

zob. Hoppen-Zawadzka Jadwiga

Pograżeni w smutku zawiadamiamy, że 16 sierpnia 2005 r.  
zmarła najukochańsza Mama, Babcia i Prababcia



**Jadwiga Zawadzka**  
z domu Hoppen

urodzona w Wilnie

Żołnierz SZP, ZWZ i AK Okręgu Wileńskiego w latach 1939-1945,  
więzień łagrów od 1945 do 1955 r.,  
członek Światowego Związku Żołnierzy AK,  
autorka ośmiu książek o tematyce wspomnieniowej.

Odznaczona Krzyżami:

Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,  
Zasługi z Mieczami i Armii Krajowej,  
medalami 30-lecia Polski Ludowej i dr. Henryka Jordana  
oraz odznakami Weterana Walk o Niepodległość i „Akcji Burza”.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się 22 sierpnia 2005 r.  
o godz 12.30 na cmentarzu rzymskokatolickim  
w Łodzi przy ul. Szczecińskiej

najbliższa rodzina

2.01.2006-Br.



*Jadwiga*

*HOPPEN*